

Monika
Hołyk



PHUKET

dla początkujących

PHUKET

dla początkujących

Monika Hołyk

© Copyright by Monika Hołyk

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

Zabrania się publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży.

skład: Monika Hołyk

okładka: Monika Hołyk

zdjęcia na okładce: Monika Hołyk

ilustracje: Monika Hołyk

Wydanie I

ISBN: 978-83-935701-2-6

Decyzja o podróży do Tajlandii zapadła spontanicznie i bez żadnych wcześniejszych planów. Bilety na Phuket w okazyjnej cenie okazały się argumentem nie do odrzucenia, zwłaszcza w starciu z zimną, deszczową pogodą listopadowej Polski. Kilka godzin na spakowanie walizki, zorganizowanie jakiegoś dachu nad głową, wybranie książek na długi lot i pobieżne przeczytanie chociażby kilku słów na temat nieznanego kraju – to wszystko, co otrzymałam od losu.

Sporządziłam krótką listę „must”, zawierającą miejsca do odwiedzenia oraz dania do zjedzenia... i ruszyłam na lotnisko. Dziś, patrząc z perspektywy czasu, widzę jak daleko byłam od tego wszystkiego, co udało mi się zobaczyć i doświadczyć będąc na Phuket. Całej tej wyprawie chyba od początku przyświecało jedno motto: Najlepszym planem jest brak planu!

Tytułem wstępu...

Nie lubicie latać samolotem? Zła wiadomość! Tajlandia nie jest dla was! Lot trwał koło jedenastu godzin. Jeśli dodatkowo zdecydujecie się na taką wyprawę w pojedynkę, gruba i ciekawa książka jest niemal obowiązkowa, o ile nie przejawiacie objawów śpiączki trwającej kilkanaście godzin, niezależnie od warunków panujących wokół. Nagrodę stanowi natomiast widok z małego okienka. Podchodząc do lądowania zobaczycie nagle soczystą tropikalną zielenią, kontrastującą z kryształowymi wodami otaczającego wyspę morza. Pas startowy położony jest tuż obok plaży, a wszechobecne palmy kołyszą się pod wpływem lekkiej bryzy.

Jeszcze tylko chwila, którą trzeba poświęcić na wypełnienie tzw. Arrival Card potrzebnej do uzyskania stempelka w paszporcie, będącego jednocześnie wizą wjazdową ważną przez okres 30 dni (w niektórych przypadkach 15) i staniecie na ziemi tajlandzkiej, tysiące kilometrów do domu i wszystkiego, co jest wam bliskie.

Przy stanowisku odbioru bagażu bardzo często stoją przedstawiciele lokalnego operatora komórkowego, rozdający

chętnym gratisowe karty sim działające w systemie pre-paid. Doładowania zakupić można w sieci marketów 7/11. Jest to znacznie tańsza opcja kontaktu z bliskimi niż telefon przywieziony z ojczyzny, a także możliwość szybkiego kontaktu z miejscowymi. Muszę przyznać, że przez dwa tygodnie spędzone na Phuket karta ta przydała mi się wiele razy i uratowała w sytuacjach kryzysowych. Jeśli więc zwiedzacie na własną rękę lub zamierzacie zobaczyć coś więcej niż standardy oferowane przez biura podróży, to zrobicie z tej karty należyty użytek.

Wymieniłam euro na pierwsze bhaty (1 EUR to ok. 39 THB) i zorientowałam się, iż przylecieliśmy prawie godzinę przed czasem podanym przez przewoźnika. Czekало mnie kilkanaście minut błędzenia w tłumie zanim przyjedzie transport oferowany przez miejsce, w którym zarezerwowałam noclegi na cały pobyt. Wychodząc na zewnątrz, by zaczerpnąć lokalnego powietrza, niemal zostałam potrącona przez samochód! Na swojej własnej skórze odkryłam, że w Tajlandii obowiązuje lewostronny ruch uliczny! To ciekawe, że w tych kilku podstawowych informacjach, które przyswoiłam przed przylotem, nie znalazłam o tym wzmianki. Szybko zrobiłam rekonesans w cenach i zorientowałam się, iż wybór transferu

oferowanego przez mój pensjonat był słuszną decyzją. Lotniskowi przewoźnicy żądali znacznie więcej. Dopiero kilka dni później dowiedziałam się, iż istnieje również autobus kursujący między lotniskiem a Phuket Town.

Zmęczona lotem i ciągłym nagabywaniem przez taksówkarzy, dostrzegłam w końcu małą, drobną Tajkę, trzymającą w ręku karteczkę z moim imieniem i nazwiskiem. Kiedy podeszłam do niej, uśmiechając się szeroko kobieta złożyła dłonie na wysokości twarzy i lekko się skłoniła. Gest ten nosi nazwę „wai” i jest tradycyjnym tajlandzkim powitaniem. Osoba młodsza powinna wykonywać go jako pierwsza, jednak jak się domyślam, moja gospodyni chciała powitać mnie uroczyście na wyspie. Szybko schowałyśmy moje bagaże do samochodu i odjechałyśmy w nieznaną; ku przygodzie i normom zupełnie odmiennym od naszych.

Nie wiem, czy owa kobietka była po prostu z natury gadatliwa, czy też ja sprawiałam wrażenie zainteresowanej rozmową, ale buzia nie zamykała się jej do samego końca przejazdu. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że jej angielski był dla mnie zrozumiały może w 25%. Uśmiechałam się więc miło i przytakiwałam, jednocześnie podziwiając widoki za oknem. Mijałyśmy małe wioski z drewnianymi

domkami, sklepy dla turystów zbudowane z marmuru i przez to odstające od swego otoczenia, buddyjskie świątynie i domki w stylu chińskim oraz dziką przyrodę, która gdzieniegdzie nie została jeszcze wyparta przez człowieka. Jednym zdaniem - mieszanka absolutna, która dziwnym trafem stanowiła całość samą w sobie.

Przejeżdżając przez jedno z głównych rond na wyspie, w okolicach Amphoe Thalang, dostrzegłam posąg przedstawiający dwie kobiety z mieczami, zwrócone ku północy. Dopiero później dowiedziałam się, iż postument ten przedstawiał bohaterki wyspy, które w 1785 roku uratowały Phuket przed inwazją Birmańczyków. Siostry Kunying Jan i Mook, po śmierci gubernatora prowincji i męża pierwszej z nich, objęły kontrolę nad obroną wyspy i przebrały setki kobiet w męskie stroje, by „przekonać” najeźdźców, iż nadeszła pomoc z Bangkoku w postaci dodatkowych oddziałów. Po miesiącach oblężenia armia wycofała się. Król Rama I za waleczność nadał Kunying Jan honorowy tytuł „Thao Thep Kasattri”. W samym Phuket Town istnieje świątynia „poświęcona” siostron, a od marca 2010 roku organizowany jest Festiwal Sióstr, upamiętniający bohaterskie mieszkanki wyspy.

Zatrzymałam się w stolicy wyspy – Phuket Town. Wybór dokonany przypadkowo i nie ukrywam - w dużej mierze wpłynęła na niego cena. Stawki oferowane przez tamtejsze hostele i pensjonaty były bowiem dużo niższe w porównaniu z przybytkami usytuowanymi wzdłuż słynnych plaż, przy jednocześnie wyższym standardzie. Otrzymałam dwuosobowy pokój z podwójnym łóżkiem do własnego użytku, skromną, ale czystą łazienkę i śniadanie, a wszystko to za cenę 11 euro dziennie.

Znalazłam się w samym środku starego miasta, jeśli można tym mianem określić zabudowę liczącą około stu lat. Już same budyneczki Thalang Road wzbudziły moją ciekawość, a przecież Tajlandia samą swoją nazwą obiecywała dużo więcej. Szybko odświeżyłam się i ruszyłam na podbój najbliższej okolicy.

Nie przeszłam nawet stu metrów, a już natknęłam się na lokalną egzotykę, chociaż bardziej pasowała mi ona do wyprawy mającej na celu poznanie „kraju środka”. Nie powinno to jednak nikogo dziwić, bowiem historia tego miejsca ściśle powiązana jest z obecnością Chińczyków, którzy osiedlali się w Tajlandii w ciągu wieków w celach handlowych, ale również po to, by podjąć pracę w lokalnych kopalniach

cyny. Szacuje się, iż obecnie 35% mieszkańców wyspy posiada chińskie korzenie. Liczba ta przekłada się wprost proporcjonalnie na ilość chińskich świątyń w mieście i na wyspie. Obecność tej nacji zaowocowała powołaniem do życia Festiwalu Wegetariańskiego, odbywającego się co roku w październiku, który z biegiem czasu wpisał się w harmonogram atrakcji turystycznych wyspy. Ale dość o tym... Spytacie pewnie, co dostrzegłam? Moim oczom ukazał się ogromny złoty smok ustawiony pośrodku fontanny. Niezły obiekt do sfotografowania, ale także doskonały punkt orientacyjny, ułatwiający trafienie do pensjonatu.



Ruszyłam dalej, próbując odnaleźć morze - przecież po to wybrałam Tajlandię znaną z rajskich plaż.

Błądziłam między klimatycznymi budynkami, zafascynowana oglądałam chińskie wille, mijałam też całkiem szare, niepozorne budynki zbudowane z betonu, trafiając jednocześnie na całą masę małych sklepów jubilerskich.



Doszłam w końcu do dużego ronda, Surin Circle, ozdobionego wieżą zegarową. Jak dowiedziałam się później, w

ten sposób dane mi było poznać jedną z atrakcji Phuket Town. Wzniesiona w neokolonialnym stylu, pasującym do charakteru starego miasta, ku zaskoczeniu wielu, wybudowana została w 2003 roku, na miejscu wyburzonej nocą jej poprzedniczki z lat pięćdziesiątych XX wieku.



To właśnie w tamtym miejscu miałam okazję pierwszy

raz zobaczyć podobiznę króla Ramy IX, Bhumibol'a Adulyadeja, który, warto wspomnieć, jest najdłużej panującą głową państwa na świecie! Objął tron w 1946 roku, po zakończeniu II Wojny Światowej i sprawuje władzę do dziś. Dodatkowo w 1987 roku Tajowie, na podstawie referendum, zadecydowali o nadaniu mu przydomka „Wielki”, w uznaniu jego zasług w dziedzinie demokratyzacji kraju. Tutaj trzeba wspomnieć, a raczej przestrzec, by przez przypadek nie skrytykować króla ani nie zbezczścić jego wizerunku (nawet jeśli jest to jedynie banknot z podobizną władcy). Za taki postępek bowiem czeka surowa kara, która może zakończyć się długoletnim pobytem z więzieniu. Jediną szansę ratunku stanowi uniewinnienie na mocy decyzji wielkodusznego króla, który z okazji świąt narodowych czasami ułaskawia skazanych. Ku uldze turystów, z tego prawa korzystają głównie cudzoziemcy.

W okolicach wspomnianego Surin Circle można znaleźć wiele małych restauracyjek serwujących lokalne dania, nieudolnie kopiowane we wszystkich krajach od Europy po Amerykę. Jeśli jesteście głodni, warto tam przystanąć i rozpieścić swoje kubki smakowe, bądź bardziej trafnie byłoby powiedzieć „wypalić”, gdyż dania tajlandzkie są jednymi z

najostrzejszych, jeśli nie najbardziej ostrymi w kuchni całego świata. Ku przestrodze: wybierajcie miejsca pełne miejscowych mieszkańców, nawet jeśli będziecie musieli wskazywać swoje przysmaki przysłowiowym „paluchem”. Właśnie to jest gwarancją najlepszego smaku, ale także normalnej ceny, nie będącej stawką ściąganą od przyjezdnego turysty. Ja jednak czułam głód morza i pozostawiając za sobą aromatyczne zapachy, atakujące mnie ze wszystkich stron, ruszyłam przed siebie. Mijałam kolejne uliczki, aż w końcu dotarłam do ogromnej fontanny przylegającej do parku. Na tablicy stojącej obok znalazłam informację, iż w godzinach wieczornych odbywa się tam pokaz grających fontann. Coraz bardziej popularna na świecie atrakcja turystyczna zaciekała mnie, jednak było zbyt wcześnie, by rozsiąść się i podziwiać dzieło tajlandzkich twórców. Nadal szukałam morza, zdecydowana nie powrócić do mojego pensjonatu bez zanurzenia nóg w ciepłej wodzie. Uparcie szłam dalej, wśród grup uczniów i starszych osób spacerujących po parku, aż w końcu doszłam do brzegu... i stanęłam zszokowana. Miałam ochotę krzyknąć wniebogłosy: „Gdzie te szmaragdowe tajlandzkie zatoki?” Poczułam się oszukana przez zdolnych grafików posługujących się Photoshopem. Zatoka Phuket Town wyglądała jakby ktoś wypompuwał z niej

większość wody. Jestem pewna, że do pobliskich wysepek można by było dostać się niemal pieszo i nie mam tu na myśli spaceru szkieletów po dnie morskim jak w „Piratach w Karaibów”. Gdzieś na horyzoncie, jakieś 200 metrów od oficjalnego brzegu, zobaczyłam spacerujących ludzi!

- To po to leciałam tyle godzin? Piękniejszą plażę można znaleźć w Oludeniz w Turcji! – Pomyślałam, idąc dalej wzdłuż brzegu.

Przestałam zauważać mijających mnie ludzi, mimo że z reguły lubię obserwować przechodniów. Na dodatek zaczął kropić deszcz! Wróciłam na Thalang Road i zrezygnowana poszłam spać.

Obudziłam się wieczorem, marząc o jakimś posiłku. Tajlandia jest ojczyzną tak zwanego „street food” - dań jednogarnkowych przyrządzanych na ulicy. Tajowie z reguły jedzą, kiedy mają na to ochotę, zamiast pilnować pór posiłków, a efektem tego są właśnie stoiska oferujące chociażby drobne przekąski. Sprzedaje się w ten sposób wszystko: od zup, przez dania z grilla, aż po owoce. Cóż, „jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać tak jak one”, dlatego też postanowiłam poznać lokalny koloryt poprzez kuchnię.

Na „dzień dobry” ujrzałam lub lepiej powiedzieć „wywąchałam” koguta, pachnącego niemal polskim rosółem. Co było w nim nietypowego? Fakt, iż został pięknie ugotowany łącznie z głową i grzebieniem! Jakoś nie odważyłam się spróbować.

Wędrując dalej ulicami miasta mijałam wiele prowizorycznych jadłodajni, ale jakoś brakowało mi odwagi, by zatrzymać się przy którejś z nich. W końcu burczenie w brzuchu zagłuszyło obawy dotyczące czystości miejsca pracy tych ulicznych kucharzy. Skusiłam się na szaszłyk z grillowanej wieprzowiny, oferowany przez młodą dziewczynę w zaawansowanej ciąży. Ku memu zaskoczeniu, mięso przyrządzono na słodko. Przyznam szczerze! Było to jedno z moich ulubionych „dań” do końca mojego pobytu na Phuket. Ale przecież nie można poprzestać na jednej rzeczy.

Zachęcona pierwszym sukcesem, postanowiłam poszukiwać nowych doznań. Trafiłam na coś, co po dziś dzień moja świadomość woli uznawać za gigantyczną krewetkę, mimo iż smakowało zupełnie inaczej. Spytacie dlaczego? Może wiadomość, iż do ulubionych przekąsek Tajów należą: suszone mrówki, koniki polne, chrabąszcze i larwy coś wam zasugeruje. Owo „coś” polane było słodko-kwaśnym sosem,

który stanowił dla mnie esencję smakową tego dania. Uznajmy to za eksperyment i na tym zakończmy.

Kolejna niespodzianka, to napoje sprzedawane w woreczkach! Masz ochotę na Fantę albo inny napój? Zamiast szukać marketu, rozejrzyj się za jakimś stoiskiem sprzedającym je w woreczkach z lodem. Zawsze zimne, zawsze pod ręką! To samo tyczy się kawy, a w dużo mniejszym stopniu również herbaty. To dziwne, bo miałam wrażenie, że akurat herbaty w Azji mi nie zabraknie.

Przechodząc w okolicach Smoka, usłyszałam łagodną muzykę. Zaciekawilo mnie to i ruszyłam w kierunku, z którego dobiegała. Trafiłam na piętrowy parking, gdzie, na niemal pustej o tej porze przestrzeni, dostrzegłam kilkanaście kobiet w różnym wieku, odzianych w sportowe stroje i najnormalniej w świecie ćwiczących Tai Chi. Synchronizacja ruchów była wręcz idealna, tyle gracji i spokoju. Było w nich coś mistycznego, czego nawet nie podejmę się wyrazić słowami. Stałam jak zaczarowana i po prostu patrzyłam, kryjąc się za jedną z kolumn. Nie potrzebowały drogich sal gimnastycznych luksusowego klubu sportowego. Wystarczyła im pusta przestrzeń i chęć wspólnych ćwiczeń. Europejczycy powinni się jeszcze wiele nauczyć od przedstawicieli kultury wschodu.

W ciągu kilkunastu minut doszło jeszcze kilka innych kobiet, które bez słowa, jedynie przy lekkim skinieniu głowy, przyłączały się w ciszy do ćwiczących już Tajek. W pewnym momencie poczułam się jak intruz podglądający tajną ceremonię. Na paluszkach odeszłam, w rytm cały czas dochodzących mnie dźwięków relaksacyjnej muzyki.

Zasypiając uśmiechnęłam się do siebie, mając nadzieję na jeszcze więcej wrażeń w kolejnych dniach. W pamiętniku pozostał krótki wpis: *„Ile samochodów, motocykli, skuterów i Bóg wie czego jeszcze mało mnie dziś nie przejechało, trudno zliczyć. Cały czas upominam się, by patrzeć „lewo, prawo, lewo” a nie tak jak od dziecka uczyła mnie mama... może za kilka dni wejdzie mi to w krew, teraz jednak pierwszy raz podziwiam osoby mieszkające z Anglii.”* Dziś już wiem – ciężko było tylko przez dobę lub dwie. Inny fragment opisywał pierwsze wrażenia z Phuket Town: *„Do tego wszystkiego należy dorzucić taksówkarzy oferujących „podwózkę” na skuterze, dzieci zalatwiające swoje potrzeby fizjologiczne na ulicy, milion zakładów fryzjerskich i przynajmniej dwa tuziny pudli, które rzuciły mi się w oczy, a także sklepy z sukienkami i spódniczkami tak krótkimi, że raczej stosownym byłoby je nazwać przepaskami na biodra – no ale w końcu jestem w*

Tajlandii, wymarzonym raju wszystkich mężczyzn...” Z perspektywy czasu nie pamiętam już tych drobnych szczegółów, ale wtedy jakimś trafem były dla mnie ważne.

W cieniu Wielkiego Buddy.

Poranek był dosyć mglisty, jednak uparłam się dotrzeć wreszcie do jakiejś rajskiej plaży. Uzbrojona w mapę miasta i wyspy zesłam do recepcji spytać o dworzec busików jeżdżących po okolicy. Chwilę zajęło mi wytłumaczenie jakiej informacji oczekuję od mojej gospodyni, jednak w końcu uzyskałam to, o co mi chodziło. Ruszyłam przed siebie, uzbrojona w aparat fotograficzny, torbę ze statywem i obowiązkową butelkę wody.

Spytacie co było moim celem? Sama nie wiedziałam, gdzie chcę się udać. Postanowiłam zdać się na los, zdecydowana wsiąść do pierwszego busa odjeżdżającego ze stacji. Hmmm, stacja to chyba zbyt szumna nazwa, gdyż okazało się, że te małe, dziwne busy w kolorze niebieskim stoją po prostu w nieoznakowanym, umówionym miejscu, przy szeregu sklepików i małych restauracyjek.

Kilka Bathów wystarczyło, by opłacić przejazd do Chalong Bay. Po drodze udało mi się poznać kolejną część Phuket Town, do której nie udało mi się dotrzeć poprzedniego dnia, jak również dostrzec skręt do kompleksu świątyni Wat

Chalong. Postanowiłam odwiedzić go po nacieszeniu się szmaragdowym morzem. Dzięki temu równowaga zostanie zachowana: coś dla ciała i dla ducha.

Nagle bus zatrzymał się w środku jakiegoś miasteczka.

- Chalong Bay – krzyknął kierowca tonem mówiącym „wysiadać!”

- Tutaj? - spytałam zdezorientowana, zbierając swoje rzeczy z podłogi.

- Tak – odpowiedział, szczerząc zęby.

- A gdzie jest morze?

Popatrzył na mnie, nie rozumiejąc.

- Morze – powtórzyłam bardzo wyraźnie.

Kiwnął ręką wskazując małą, pustą uliczkę. Na tyle długą, iż nie można było dostrzec jej końca. Jedno było pewne, wzdłuż niej ciągnęły się bary, restauracje i hoteliki. Nie mając wyboru, wysiadłam i ruszyłam we wskazanym kierunku.

Dochodziła dziesiąta rano i miałam wrażenie, jakbym nagle wylądowała w miasteczku duchów. Pierwszych ludzi spotkałam dopiero dochodząc do przystani. Zaoferowano mi rejs na pobliską wyspę Koh Lon, jednak uznałam, iż należy

najpierw rozeznąć się na Phuket, by wyruszać gdzieś dalej.

Weszłam na molo, by zobaczyć brzeg z trochę innej perspektywy. Zafascynowana przyglądałam się tajlandzkim łodziom - drewnianym tworom o długiej rufie, zdobionej często kolorowymi szarfami. Zacumowane, jedna obok drugiej, kołysały się lekko na falach, jakby wyczekując momentu, gdy przyjdzie im wyruszyć w podróż. Mimo braku błękitnego nieba wiedziałam, że to właśnie dla takich widoków przyleciałam na Phuket.



Postanowiłam zwiedzić miasteczko i powoli zawróciłam w kierunku lądu, gdy nagle Go zobaczyłam. Siedział w pozycji lotosu, z kamiennym wyrazem twarzy, na